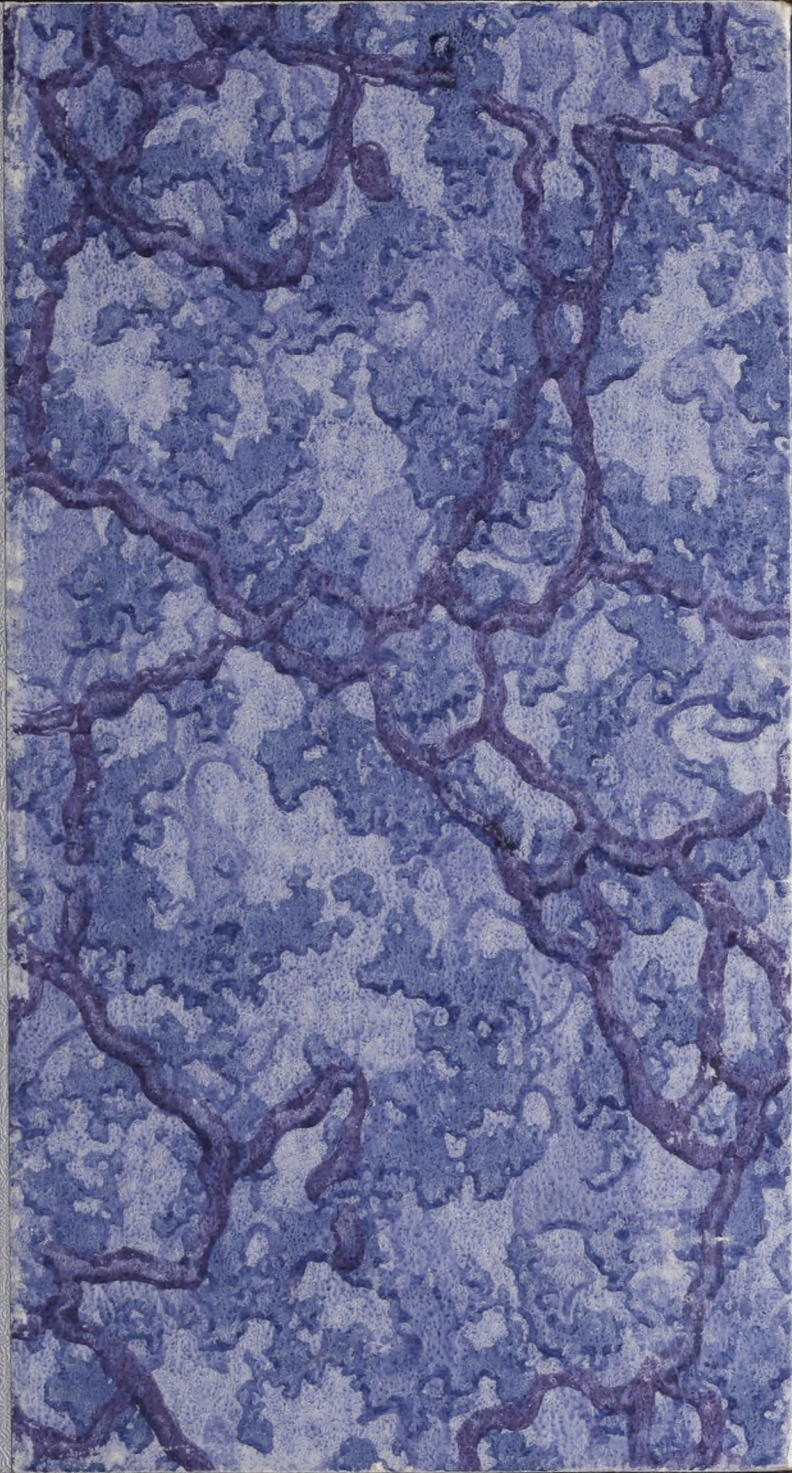
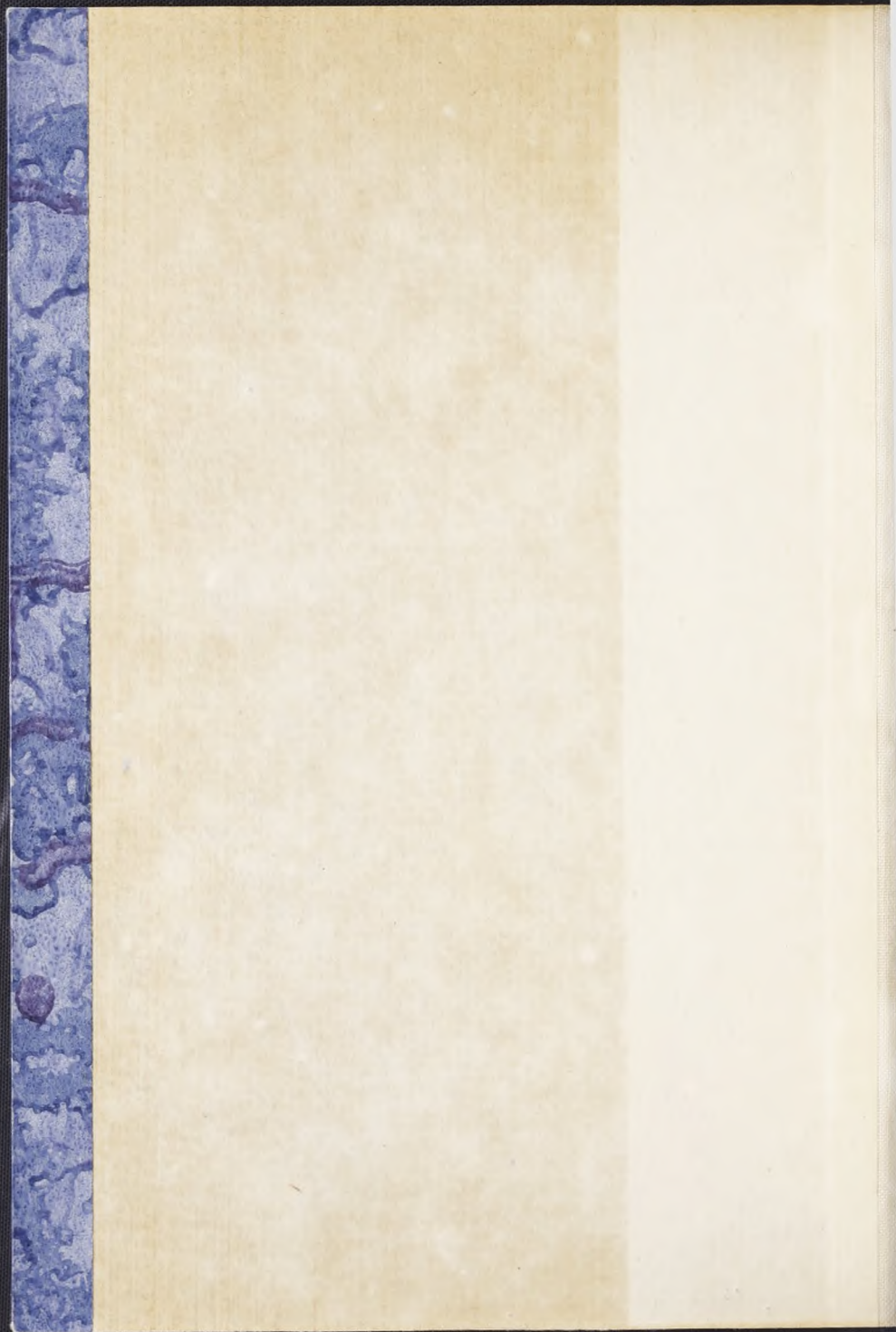
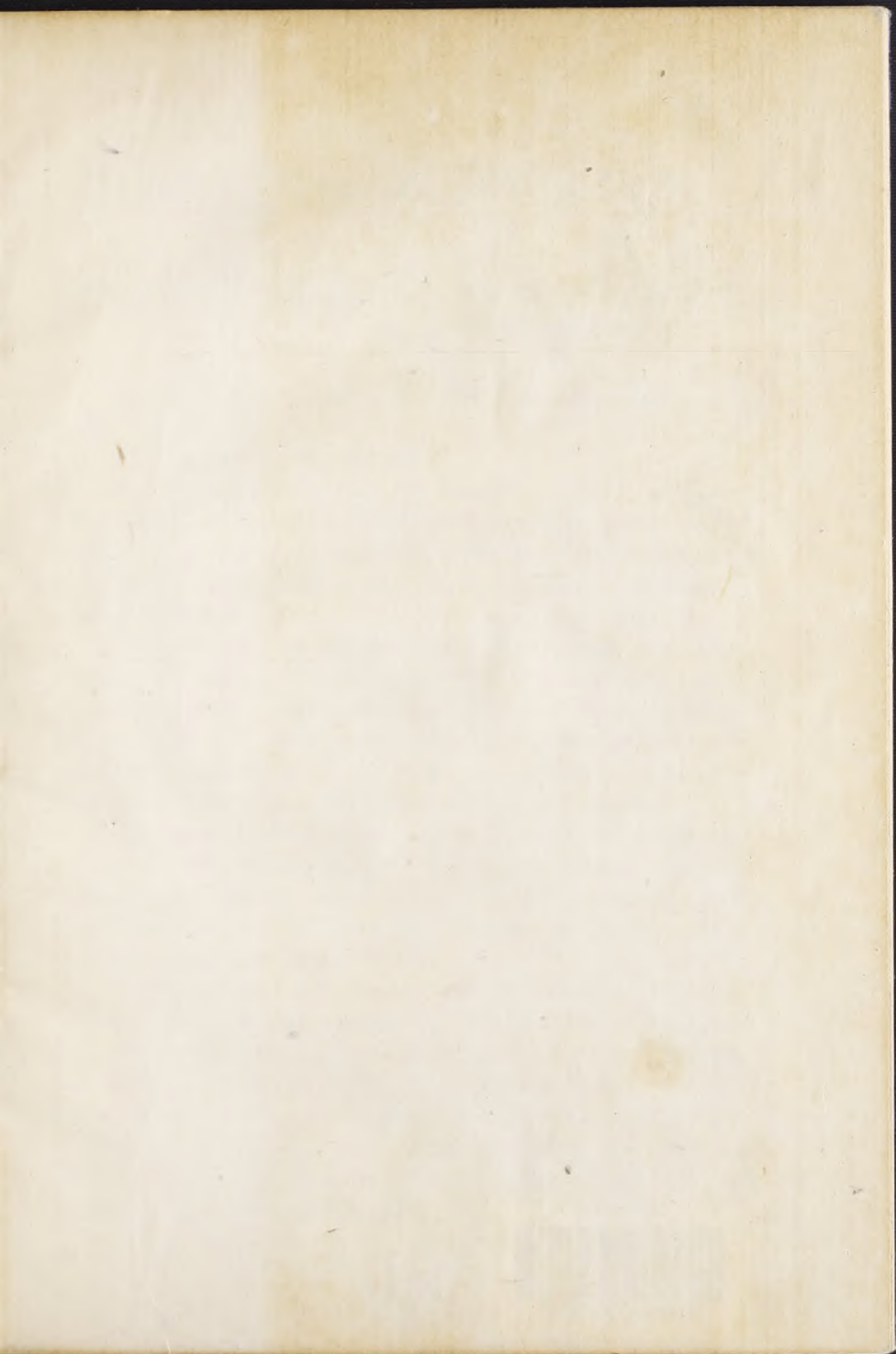
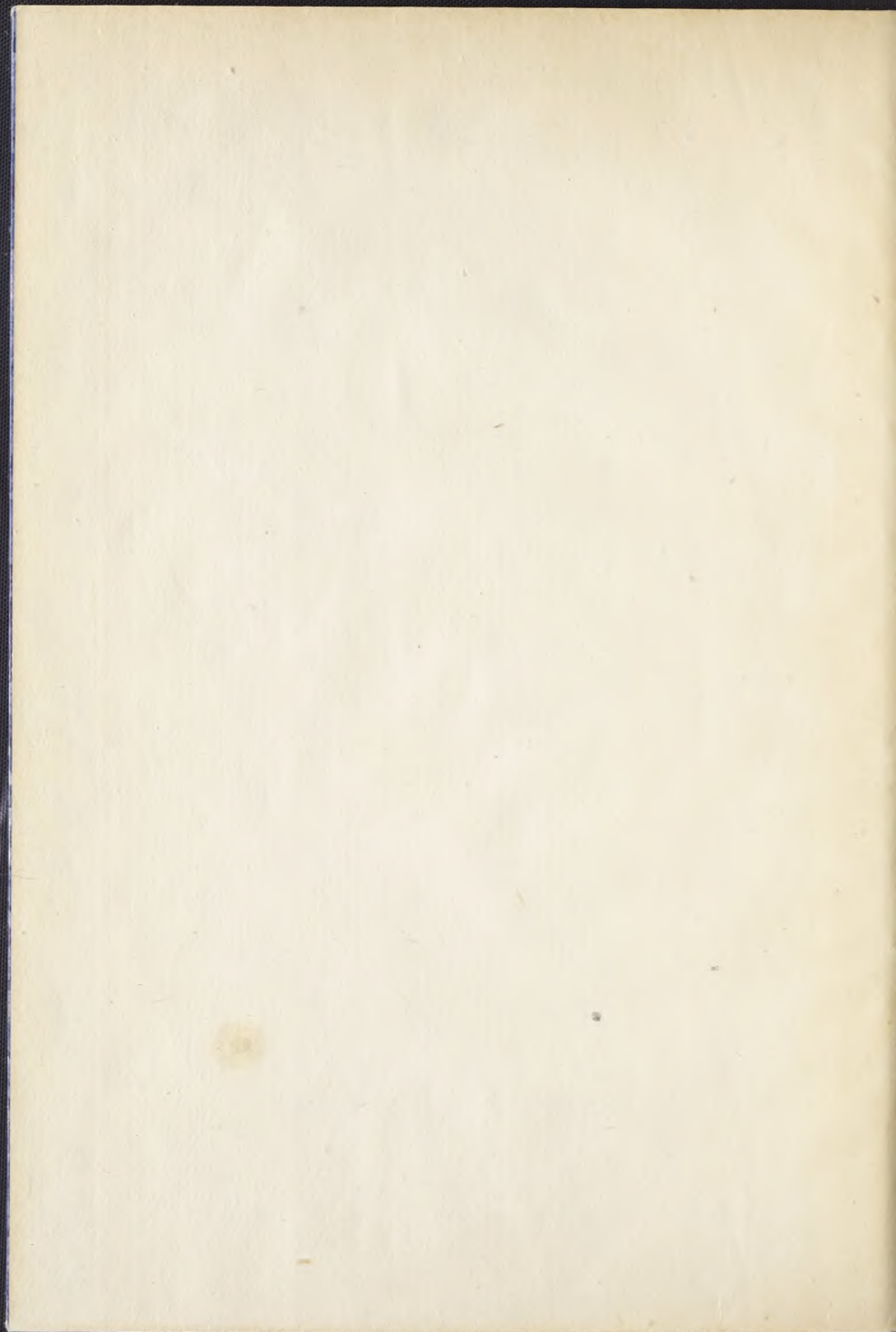


105048









105.048

## Dodatek Tygodnika „Wolne słowo”.

### Sherlock Holmes w Warszawie.

Humoreska **Leo Belmonta.**

Otworzywszy drzwi, cofnąłem się od progu niezmiernie zdziwiony:

— Ty tu... w Warszawie?!

— Zaraz przestaniesz się dziwić — mówił z uśmiechem mój i Watsona londyński przyjaciel, zdejmując podróżną torebkę i płaszcz. Opowiem ci wszystko przy kolacyi. Przeszkodziłem ci... w spożywaniu jajecznicy... wszak prawda?

Jakkolwiek do domysłności Sherlocka przyzwyczaiłem się już oddawna, przyznaję że uderzyła mnie ona nie mniej, niż zawsze. Pytającemi oczyma spoglądałem na niego, przeprowadzając go przez gabinet do jadalnego pokoju, gdzie na stole przedemną stał rzeczywiście talerz z napoczętą przed chwilą jajecznicą.

On, przechodząc przez gabinet, rzucił na wszystkie strony zwykle swoje bystre wejrzenie, takim samem spojrzeniem ogarnął teraz pokój jadalny i już siedział naprzeciw mnie, przymykając wedle zwyczaju oczy, a uśmiechając się nieco, mówił:

— Opowiem ci wszystko. Mam nadzieję, że jesteś wolny... Nie czekasz chyba na nikogo prócz służącej i stróża, który ma przyjść po podatek za twego dużego szarego psa... A ten jegomość semickiego pochodzenia, który przed dziesięciu minutami toczył z tobą taką walezną dysputę w kwestyi syonizmu, zapewne nie prędko powróci... w każdym razie dziś nie złoży ci wizyty — i przeszkadzać nam nie będzie.



Warszawa



30001006155917

Rozwierałem oczy coraz szerzej. Był u mnie po raz pierwszy. Zkąd wiedział, że mam szarego psa... że ma przyjść stróż... w jakim celu... kto był... i o czym mówił...?!

— Mógłbym uchodzić za cudownego człowieka — mówił Holmes, składając końce palców obu rąk według przyzwyczajenia. Ale i tym razem rozbiję tę świetną opinię o sobie, a przekonasz się, jak zawsze, że odrobina spostrzegawczości i umiejętność wyprowadzania wniosków logicznych z przesłanek, starczy do rezultatów, które wydają się czemś genialnym... nadziemskim.. ludziom, nie zadającym sobie trudu patrzeć dobrze, a myśleć.

I metodycznie, ze zwykłą skromnością, dowiódł mi jak prostą i naturalną była jego pozornie cudowna zdolność odgadywania:

„Kiedyś otworzył mi drzwi, na twoich ineksprymablach znacznie powyżej kolan dostrzegłem siwe włoski, które wskazały, że pies składał ci mordę na kolanach. Przechodząc przez gabinet, dojrzałem na kanapie w rogu znaczne wgłębienie, którego nie mogła wygnieść ludzka istota, bo nie znajdowałoby się ono w takim oddaleniu od końca kanapy i tak bardzo w kącie przy oparciu i przytem nie byłoby pokryte temi samemi siwemi włoskami, które leżały na twych ineksprymablach. Leżał tam skulony pies — z rozmiaru wgłębienia sądząc — duży. Na biurku w gabinecie dojrzałem małą kartkę drukowaną z kilku wpisanemi słowami, a obok niej przygotowane trzy ruble. Domyśliłem się, że to kartka z cyrkułu, wzywająca o zapłacenie podatku za psa. Ponieważ wiem, że dziś ostatni termin, wykombinowałem, żeś posłał służącego po stróża, przygotowawszy pieniądze. Dlatego sam mi otworzyłeś. Służąca zaś zesłała po stróża, a przy tej okazji wyprowadziła psa, aby prze-

wietrzył się... Otwarte drzwi od kuchni, które dostrzegłem przez korytarz, gdyś mi od frontu otworzył, upewniły mnie, że służąca wyszła tylko na chwilę... oczywiście po kogoś, co jest blisko, w podwórzu, więc po stróża..

W istocie wszystko było tak, jak mówił. Ale druga rzecz nie przestawała być cudowną,: odgadnięcie charakteru wizyty poprzedniej.

— I tu nie chcę na geniusza pozować—mówił Holmes. Nie sądz, żem spotkał kogoś na schodach. Powiedziałem ci wyraźnie: twój gość odszedł przed dziesięciu minutami. Nie później, bo byłbym go spotkał, wchodząc na górę do ciebie. Nie wcześniej, bo brał udział w twojej wieczerzy i na wewnętrznej stronie szklanki, która stoi wprost ciebie, para od herbaty nie ostygła jeszcze.

— Lecz zkąd wiesz, o czem mówiliśmy?!

— Po tej stronie obrusa, gdzie siedział twój gość, ułożony jest z pestek od wiśni herb Dawida — dwa przecinające się, wzajem odwrócone trójkąty. Rozmowa dotyczyła kwestyi syonistycznej — była gorączkowa — widać to z niewygasłych rumieńców na twojej twarzy... Twój gość ilustrował rozmowę, pokazując ci herb Dawidowy...

— Lecz zkąd wiesz, że to był semita?.. Mógł przecie rozmawiać ze mną aryjczyk...

— Widzę na twoim surducie zwieszający się na nitce guzik. Gdyby nitka oderwała się dawniej, guzik twój już odleciałby... Nie utrzymałby się. Z wątplości nitki i utrzymania się na niej guzika wnoszę, że guzik pół-oderwano ci dopiero przed chwilą. W tem miejscu zatem ujął cię twój oponent... To nie mógł być aryjczyk...

— A zkąd wiesz, że prędko nie wróci?..

— Widzę, że irytował się podczas rozmowy. Serweta jego zmięta i rzucona na podłogę. W masielniczce po jego stronie masło nosi ostre rysy zbyt energicznie wpychanego noża. Bułka rozerwana jest nader nierówno i nietknięta... Herbata niedopita. W trzech miejscach wiśnie pozostawiły plamy na obrusie, jakgdyby ktoś je pięścią w gniewie rozgniół...

Nie byłem zdziwiony teraz, że odgadł. Ale zrozumiałem się, jak łatwo wyciągnął wnioski ze szczegółów, których my zazwyczaj nie widzimy, a których wymowa była tak jaskrawą, że nie omyliłaby nikogo, co umiałby podobnie patrzeć i rozumowałby tylko logicznie!

— A z kądem zgodzę, że jadłem... jajecznicę?

Uśmiechnął się:

— O, to proste... Gdyś otworzył mi, ujrzałem złotą kropkę, która kapnęła ci z wąsów i z brody...

— Ale mogłem przecie jeść jajka na miękko.

— Nigdy!... byłoby choć nieco białka na brodzie...

Po przerwie wywołanej przybyciem stróża, służącej i psa, gdym załatwił kwestję podatku, a pies legł u nóg w gabinecie, zadałem zapytanie Holmesowi, co go właściwie sprowadza do Warszawy.

— Sprawa... Jaka nie wiem... Zdaje się, coś ważnego... i... bardzo delikatnego... Oto depesza, którą zostałem wezwany.

Pokazał depeszę. Brzmiała: „Potrzebny mi Pan dla rozwiązania głębokiej tajemnicy, od której zależy moje małżeńskie szczęście. Honorarium 500 funtów. Klotylda Kłopotowska.“

— Odelegrafowałem, że jadę. Dałem twój adres. Nie masz mi za złe?

— Ach, mój drogi!.. Jakkolwiek sam bawię tu dopiero od miesiąca... i mieszkanie moje nie bardzo jest w porządku... nieco zbyt po kawalersku... lecz...



— Więc za chwilę zobaczymy tu panią Klotyldę... Nie wiesz, kto to taki?..

— Znałem cztery Klocie w Warszawie, lecz jedna jest rozwódką, a trzy są... pannami nie do wzięcia. Sądzę, że to nie żadna z tych czterech...

— Poznamy ją niebawem, bo, zdaje mi się, słyszę już jej kroki na schodach. O, dzwonią!

Służąca wniosła pięknie litografowaną kartę. Wyczytaliśmy na niej: „Klotylda Kłopotowska nee Grzmotnicka.“

— Prosić!

Weszła młoda, ładna blondynka. Podeszła szybko do Sherlocka i gorąco ścisnęła mu rękę:

— Znam Pana z fotografii. Jakżem szczęśliwa, żeś Pan przyjechał... Tajemnica moja...

Tu zatrzymała się, spoglądając na mnie.

Sherlock rzekł:

— O, przy panu Belmoncie może pani śmiało mówić! To jest mój warunek, aby wszyscy klienci mówili o swoich tajemnicach wobec pana Watsona, albo pana Belmonta.

Blondynka rzuciła mi czarujący uśmiech, który oznaczał: ufam Panu. Siadła, a odsapnąwszy nieco, szybko mówić zaczęła:

— Jestem wysoce nieszczęśliwa. Wysłałam za mąż z miłości. Mój mąż na pozór kocha mnie bardzo. Ale w życiu tego człowieka jest jakaś straszliwa tajemnica. Musi mieć na sumieniu jakąś zbrodnię. Od czasu do czasu ogarnia go lęk — niepokój... Nie może usiedzieć wtedy na miejscu.. Zrywa się... z jednego miasta ucieka do innego... Obawia się, abym się czegoś nie dowiedziała... Pilnuje mnie... podejrzewa... Słowem, nic z tego nie rozumiem.

— Fakty.. fakty... — wycodził zimno Holmes, przy-  
mykając oczy.

— Jakie fakty?

— Kiedy Pani wyszła za mąż?

— Blisko dwa miesiące temu.

— Gdzie?

— W Krakowie.

— Za zgodą ojca?

— Nie mam go...

— Za zgodą matki?

— Tak... chociaż matka bardzo płakała, rozstając się ze mną. Gdyśmy wyjeżdżali, powiedziała mi na osobności: "Dziecko moje! gdyby ci źle było... gdybyś omyliła się co do jego charakteru, pamiętaj, że masz matkę... Napisz... zaraz przyjadę." Lękała się o mnie bardzo...

— Mąż Pani dawał powód do tych obaw?..

— Jako narzeczony — nie. Był bardzo łagodny. Po ślubie, na drugi dzień... przeraził mnie i mamę dziwaczną gwałtownością... Rzucił szklankę o ziemię — i rozbił ją... Pobladł... trząsł się z gniewu... Potem mocno przeproszał...

— W jakich to było okolicznościach?

— Bez żadnego powodu. Mama, która zna zagranicę gruntownie, układała nam właśnie plan podróży poślubnej. Mój mąż miał iść po bilety dla nas — i wtem... poprostu wpadł w pasyę.. Pamiętam, mama opowiadała o jakimś obrazie w pałacu Pitti, który wszyscy oglądają, i obiecała nam go pokazać — podobno curiosum.. Mama zna wszystkie galerye.. Obiecała nam ciceronować... Rzuciłam się mamie w objęcia... Ludwiczek ucałował Mamie ręce... Był ogromnie wesół i rad, że wyjeżdżamy... I naraz — kiedy już szedł po bilety — chwycił

tę szklankę ze stołu i buch!.. na ziemię. Nie widziałam go jeszcze takim...

— I cóż... przeprosiwszy, poszedł po bilety?

— Nie!.. przeprosił... ale uparł się... Powiada nagle: „nie cierpię Włoch, nie cierpię Szwajcaryi, nie cierpię podróży... Jedziemy do Warszawy!“ Zdziwiłam się, bo nigdy nie mówił, że podróży nie lubi... Przeciwnie cieszył się, że zobaczy Włochy i Szwajcaryę... I naraz taka zmiana usposobienia. To było po raz pierwszy... Potem podobne ataki zdarzały mu się nieraz...

— Kiedy po raz pierwszy?

— Po przyjeździe do domu.

Sherlock zapalił papierosa:

— Państwo mieszkacie stale w Warszawie?

— Tak jest... Po przyjeździe do domu pierwszy atak we trzy tygodnie. Skrzyczał strasznie służącą...

— Powód?

— Zawieruszył się list Mamy.

— Cóż go tak rozgniewało?

— Właśnie... zuchwałstwo służącej... Przychodzę... Szwajcar mówił mi: listonosz przynosił list do Pani... Gdzie list?.. Na górze... Pędzę po schodach... Myślę: list od kochanej Mamy — może obiecuje przyjechać... Pytam męża.. powiada: „A, tak.. list był... położyłem na stole w jadalnym..“ Szukam w jadalnym... niema... Niema nigdzie.. Mój mąż dzwoni na Wikcię. „Gdzie położyłaś list dla Pani?“ Dziewczyna na to: „Jaki list? Żadnego listu Pan mi nie dawał.“ Mój mąż: „Jeżeli zgubiła, to przynajmniej nie kłam.“ Moja Wikcia zaprzężyła się: „Ja nie kłamię.. Pan sam zgubił.. Pan mi nie dawał.“ I nuż zaklinać się na wszystkie świętości. To zapieranie się w żywe oczy wyprowadziło męża mojego z równowagi. Począł nogami tupać, krzyżeć: „List musi się znaleźć!“ Wikcia moja też harda. Więc

krzyczy: „Przechodziłam kiele Pana, to Pan list jakiś czytał, ale nic mi nie dawał.“ „Kłamiesz!..“ Zrobiła się awantura. Chciałam Wikcię odprawić. Ale już pasja mego męża przeszła, bo w gruncie rzeczy jest ogromnie dobry i powiedział mi: „Dziewczyna głupia, ale nie zła. Kłamie, bo nie pamięta. Daj jej rubla odemnie i niech już zostanie...“

— A list?

— List nie znalazł się. Tylko wieczorem, gdyśmy się kładli spać, powiada mąż do mnie: „Kloteczko! wiesz co? — pojedziemy do Szwajcaryi i do Włoch...“

Sherlock złośliwie przymrużył oczy:

— Cóż Pani na to?

— Powiadam mu: jakto? nie lubisz przecie podróży. A on mi: „No, tak mi się wydawało. Jedziemy najpóźniej za dwa dni. Przygotuj się.“ Powiadam: „Zlituj się. Nie zdążę. Mam dużo sprawunków dla Mamy.“

— Cóż mąż na to?

— Mąż?.. Powiada: ja ci pomogę.

— W sprawunkach?

— Tak.. Ludwiczek dla Mamy bardzo uprzejmy..

I na służącą za stratę listu gniewał się głównie dla tego, że przy listach Mamy jest zwykle spis wszystkiego, co Mamie potrzeba. A Ludwiczekowi chodzi mocno o to, aby Mamie dogodzić. Nazajutrz wychodzimy na miasto. Zatrzymuję Ludwiczka przed sklepem kapeluszy na Marszałkowskiej. Powiadam: „wstąpimy, kupię kapelusz dla Mamy.“ Wstępujemy. Wybieram dla Mamy kapelusz z pięknem białem strusiem piórem. Potem zagadałam się przy przymierzaniu nowych francuzkich fasonów. Wtem, widzę, ku wyjściu dąży jakaś dama w kapeluszu z czerwonym piórem... Widziałam, że jest młoda.. Mignęła mi filuterna twarzyczka z pięknymi niebieskimi oczyma. Mój mąż, wskazując palcem ową damę,

nachyliła się ku sklepowej i coś szepcze.. Widzę to w lustrze.. Widzę, że panna sklepową uśmiecha się.. On też — i szepcą Zmartwiałam. Mama mówiła mi nieraz, że wszyscy mężczyźni są zdrajcy. Ale co do Ludwiczka.. byłam pewna, że on nie.. Wypadłam na ulicę.. Ludwiczek za mną. Ledwie miał czas zapłacić rachunek.. Spozrzegł moje zmieszanie. „Co ci się stało?“ Powiadam: „nic.“ „Zbladłaś strasznie.“ Pytam: „Kto była ta dama?“ — Jaka dama? odpowiada, jakby nic nie wiedział. „Ta, co wyszła.“ — Wychodzących było wiele. „Ta z czerwonym piórem na kapeluszu!“ — Stare pudło!.. Kłamał wyraźnie. „Aha, stare pudło.. O czym-żeś szeptał ze sklepową?“ — Ja? „Oczywiście, że nie ja.“ Zmieszał się, splątał. Robię mu scenę. Skręciłam umyślnie w Świętokrzyską ku Zielnej, gdzie są sami żydzi. Powiadam mu: masz stosunki z tą panną w magazynie... miałaś stosunki z tą damą z czerwonym piórem... Przez całą Pańską idzie przy mnie, a zaklina się, że żadnych stosunków z nikim nie ma i nigdy nie miał. „Coś szeptał?“ „Ależ nic.“ „Ta panna śmiała się.“ „Śmiała się z gustu tej pani.“ „A ty?“ „Ja też.“ „Mówiłeś coś.“ „Pytałem, czy niema piór jeszcze czerwieńszych?“ „Tylko tyle?“ „Mówilem, że strusie pióra są drogie.“ Rozplakałam się na ulicy. „Dla Mamy... to za drogie!“ Zarumienił się. — Przyszliśmy wreszcie do domu... Jął przysięgać...

— Jeżeli Pani krócej możesz opowiadać, to proszę— rzekł uprzejmie Homles. Ale jeżeli Pani uważa, że to wszystko jest potrzebne, słucham cierpliwie.

— Wszystko to potrzebne — rzekła pani Klotylda, czyniąc nieco dziwaczny ruch, jakby kilkakroć gładziła mufkę, której w rękę nie miała, raz po raz mrużąc oczy. Ale jeżeli Pan sądzi, że może krócej..

O! nie krępuję Pani. Jestem cierpliwy. Lecz jeżeli pani może się streszczać...

— Słowem... po trzech godzinach... mężowi udało się udobruchać mnie. Chociaż... już w tej historii pozostało dla mnie coś tajemniczego! Ale jak Ludwiczek jął malować naszą przyszłą podróż, pokazywać mi drogę naszą na mapie, a przy każdym punkcie, oznaczającym miasto, w którym zatrzymamy się, całować mnie, a przy każdym podkreśleniu w Baedekerze ołówkiem hotelu, który obieraliśmy na postój, całować mnie dwukrotnie, (tu pani Klotylda zapłonila się rozkosznie), takem zmiękla i wybaczyła mu wszystkie przypuszczalne błędy przeszłości. Tylko już na przyszłość żądałam... No, panowie rozumieją... Przystał wierność do grobowej deski. Pisząc nazajutrz pod nieobecność Ludwiczką list do Mamy, nie wspomniałam nawet o tem nieporozumieniu — Mama zaniepokoiłaby się mocno.

Holmes pokiwał głową:

— A uspokoiła Pani obawy Mamy.. co do uczuć męża?

— O! opisałam Mamie, jak Ludwiczek wybierał ze mną miasta na mapie i hotele w Baedekerze... ile razy mnie pocałował. Ja Mamie wszystko piszę. Ludwiczek nawet sądzi, że jestem zbyt drobiazgowa... i mogłabym mniej pisać...

— Cóż dalej?

— Teraz niech Pan uważa... Bo to, co teraz, to najważniejsze... Następują fakty dziwne, niezrozumiałe. . . Zaraz Pan zrozumie, czemu mówiłam o owej Pani z czerwonym piórem na kapeluszu... Przyjeżdżamy do Bazylei. Stanęliśmy w hotelu „Pod trzema królami.“ Zwiedzi- liśmy muzeum... klasztor... galerje. Wracamy do hotelu. W przedsionku przystępuje do mojego męża szwajcar i powiada: „Była tu jedna Pani...“ pytała o Pana... „Ja-

ka pani?" „Z czerwonym piórem na kapeluszu!.. Mąż mój pobladł... szwajcarowi dalej mówić nie dał... pociągnął mnie na górę. „Pakujemy się“ — woła. Oczy mu się iskrzą... twarz płonie... Widzę, że ma napad... Więc już milczę... nie opieram się... scemy mu nie robię.. Wsiadamy do wagonu... Dopiero odzyskał humor... Pytam: „co było?“ Wziął mnie za rękę i rzekł pieśczośliwie: „Klociu, jeżeli mnie choć trochę kochasz, ufaj mi... Wiesz, że tylko o naszym szczęściu myślę...“ „A ta dama?“ „Klociu! nie pytaj. To straszliwa tajemnica... Kiedyś, da Bóg, wyjaśnię ci — zrozumiesz mnie!“ Przyjeżdżamy do Bernu. Stajemy w hotelu „Jura“ obranym wedle wskazania Baedekera. Wychodzimy na miasto. Podziwiamy z daleka Alpy... jesteśmy w nowym i starym parlamencie... Podobają się nam. Zamierzamy jeszcze jeden dzień pozostać... Lecz w hotelu...

— Szwajcar donosi — uśmiechając się, kończył Holmes — że dama z czerwonym piórem...

— Tak jest! — wykrzyknęła pani Klotylda, znowu czyniąc swój zagadkowy ruch, jakby głaskała coś leżącego na kolanach. Tak jest! „Die Dame mit rothem Feder am Hut...“ przychodziła — pytała...

— I znowu atak... ucieczka... przysięgi w drodze...

Pani Klotylda przymrużyła oczy, uśmiechnęła się półsmętnie i przytaknęła.

— Przyjeżdżamy do Interlaken... stajemy w hotelu „Centrale“ nad cudnym Thunskim jeziorem.

— Nie obejrzelście miejsca, jak należy?..

— Nie mogliśmy... Była dama z czerwonym piórem na kapeluszu... i musieliśmy uciekać..

— I to tak trwało?

— Miesiąc cały... W Lucernie, Zurychu, Genewie, Florencji, Wenecji, Rzymie... wszędzie... wszędzie... zjawiała się dama z czerwonym piórem...

Tu pani Klotylda zalala się łzami. Podalem jej szklankę wody. Polykając lzy, mówiła z oburzeniem:

— Ta dama zepsuła mi całą podróż!.. Nic nie widziałam!.. Nic!.. Nic!.. Takie koszta na nic.. Mielismy we wszystkich hotelach wcześniej zamówione pokoje... Trzeba było przepłacać... bośmy nie dosiadywali... Okropność!..

Sherlock Holmes posępnie pokiwał głową. Dawno nie widziałem go tak głęboko wzruszonym. Opowieść ładnej blondynki robiła na nim wielkie wrażenie.

Pani Klotylda ciągnęła:

— Zdenerwowałam się... Ludwiczek to widział.. czuł, że potrzebuję spokoju, wytchnienia.. Zaproponował mi, żebyśmy już zaniechali jazdy do Paryża — zapomniałam już Panu powiedzieć, że w projekcie była jeszcze podróż do Paryża... — i doradził powrót przez Kraków. „Posiedzimy tydzień u Mamy, to odpoczniesz i obojgu będzie nam dobrze.“ Skoczyłam mu na szyję.. To było tak mile z jego strony. Wiedział, jak tęsknię za kochaną Mamą. Od chwili wyjazdu nie dostałam ani jednego listu, choć codziennie słałam karty z widokami. Ale przy tej bieganinie po Szwajcarji i po Włoszech listy Mamine dogonić mnie nie mogły..

Holmes zmarszczył czoło. Słuchał z natężeniem.

— I cóż w Krakowie? — zapytał.

— Niestety!.. Nie zastaliśmy Mamy. Drzwi zamknięte. Służące odprawione. Stróż nie wie nic. Tylko tyle, że Pani wyjechała. Dokąd? do Warszawy? „Nie mówiła.“ Od tych ciemnych ludzi niczego dowiedzieć się nie można. W Krakowie w hotelu przesiedzieliśmy tydzień, czekając na Mamę.

— Dama w kapeluszu z czerwonym piórem nie wypędziła was? — z lekką żartobliwością w głosie spytał Holmes.



— Nie... Owszem spędziliśmy nawet czas bardzo przyjemnie.. codzień byliśmy w teatrze..

— Mąż nie miał ataków?

Tylko pierwszego dnia... Wieczorem, w hotelu... Miał dziwny atak.. Nasamprzód gniewał się ze mną razem, że ci ciemni ludzie — niby stróż i stróżka — nie umieli powiedzieć, dokąd Mama wyjechała... potem zaniepokoił się, że Mama może siedzi w Warszawie i na nas czeka i wysłał zaraz na moją prośbę depeszę... potem zaczął śmiać się. Ponieważ żadną miarą nie chciał iść do doktora, a na pytanie co mu jest, odpowiadał: „Tajemnica“ — zaniepokojona, wówczas właśnie zatelegraowałam do Pana...

— Cóż jeszcze?

— Nic... Mamy nie doczekaliśmy się.. Z Warszawy przysła depesza, że Mamy tam niema... Wróciliśmy i Mamy niema...

— A gdzie może być?..

Pani Klotylda rozplakała się:

— Mama pewnie jest na wsi u którejś ciotki mojej... Ale u której, nie wiem...

— Dużo pani cioć ma?

— Siedem... Ludwiczek telegrafował do trzech... Do czterech pozostałych nie mógł. Nie mamy bliższego adresu... Po wsiach mieszkają...

I pani Klotylda jęła płakać jeszcze rzewniej.

Holmes ruchem ojcowskim wziął ją za rękę:

— Niech pani nie płacze... Mama się znajdzie...

— To wiem — mówiła, szlochając. Ale... ale... mnie boli jeszcze co innego... Według naszego planu... mieliśmy dziś właśnie nocować w Paryżu... w hotelu „Regina...“ Tak się na to cieszyłam... A patrz Pan... i Mamy niema... i mąż jest chory... i ta jakaś tajemni-



cza kobieta spokoju nie daje... i... i... i... ja sama jestem nerwowo rozstrojona..

Tu zaczęła bezładnie opowiadać. Okazało się, że mąż jej znowu znajduje się w stanie dziwnego rozprężenia nerwów, że ten stan udzielił się i pani Klotyldzie, że pan Ludwik jakgdyby czegoś wyczekuje, czegoś boi się, że obecnie zaproponował żonie wyjazd do Berlina pół dla rozrywki, pół w interesach, które miał tam załatwić..

— A Pani?

— A ja boję się jechać.. Znowu ta dama...

Sherlock Holmes uśmiechnął się.

— Kiedy Państwo macie jechać?

— Mąż chce jutro...

— W jakim hotelu Państwo zamierzacie stanąć?

— Mąż mówił, że w „Monopolu.“

— Niech Pani jedzie! — rzekł z mocą Holmes, powstając i kładąc dłoń na ręce pani Klotyldy z gestem uspakającym

— A ta.. dama?.. — rzekła pani Klotylda, patrząc nań wystraszonemi oczyma.

— Niech Pani się niczego nie obawia.. Tajemnicę tę przyrzekam odkryć... i ręczę Pani, że... wszystko będzie dobrze!

Tyle pewności było w jego głosie, że twarz Pani Klotyldy rozpogodziła się uśmiechem. On pochylił się nad nią poufnie i rzekł:

— Teraz proszę zapamiętać, co powiem... i zrobić to, co polecę...

— Słucham.

— Wyjeżdżają państwo jutro... tak?.. Zatem będziecie Państwo w Berlinie (zamyślił się, jakgdyby coś obliczał..) tak, w piątek... rano... Otóż wieczorem w Piątek pod wszelkimi pozorami postara się Pani zatrzymać

męża w hotelu... żeby nie uciekł (tu Holmes uśmiechnął się..) Zawczasu rozkaże Pani szwajcarowi, żeby pokój wasz zamknął... Rozumie Pani?

— Rozumiem.

— Klucz poleci mu Pani przywieźć na dworzec centralny.. Karetkę hotelową odnajdę — i klucz odbiorę. Powiesz Pani, że zapytam stangreta „Monopolu“ o klucz „od zamkniętych.“ To będzie znak umówiony. Pamiętasz Pani?

— Pamiętam.

— A teraz jeszcze pytanie?

— Pani lubi pieski?

— Małe... tak... Ale Ludwiczek nie lubi — przy-mrużyła oczy.

— Przepraszam, jeszcze pytanie. Czy ojciec Pani był krótkowidzem?

— Ojciec?... Nie...

— Dziękuję Pani... Wiem wszystko, co mi potrzeba. Może pani odejść w spokoju. Tajemnicę „damy z czerwonym piórem“ rozwiążę...

— Panie!.. będę Panu wdzięczną do grobu... Pan rozumie... że tutaj waży się kwestja całej mojej przyszłości... Muszę wiedzieć, co ciąży na sumieniu tego człowieka... czy mogę z nim żyć... czy raczej mam wracać do Mamy...

Batystową chustką ocierając łzy, pożegnała nas szybko i — wyszła.

\* \* \*

Przez chwilę trwało milczenie. Holmes przerwał je pierwszy.

— Pojedziesz ze mną do telegrafu?

— Telegrafujesz w tej sprawie?..

— Tak.

— Do kogo?

— Pozwól, że powiem ci dopiero później.  
— Jesteś pewny swego?..  
— Mam pewne kombinacje...  
— Mogą zawieść...  
— Mogą. Ale... nie zawiodą. Przynajmniej mam nadzieję.

— Więc telegrafujesz... I co więcej?..  
— Wyjeżdżam do Berlina. Pojedziesz ze mną.  
— Jak najchętniej.  
— A zatem przygotuj się... Jedziemy choćby zaraz...  
Zatelegrafuję na dworcu.

W pół godziny potem byliśmy na dworcu warszawsko-wiedeńskiej kolei. Sherlock oddał depezę. Wyznaję, że byłem mocno zaintrygowany. Mój przyjaciel dostrzegł to, i uśmiechając się, rzekł, kiedyśmy już siedzieli w wagonie:

— Aby nieco zaspokoić twoją ciekawość, powiem ci, zem telegrafowałem do Paryża do hotelu „Regina.“

— Ale do kogo?

— Do damy z czerwonym piórem na kapeluszu.

— A!.. Znasz jej nazwisko?

— Domyślam się...

Pociąg ruszył właśnie.. Holmes owinął się pledem. Wiedziałem, że tymczasem nic więcej nie powie. Po chwili usłyszałem jego chrapanie. Co do mnie, zasnąć nie mogłem. Gubiłem się w domysłach. Jak on znajdzie ową damę z czerwonym piórem na kapeluszu?.. Cała opowieść Klotyldy wydawała mi się czemś bez związku, bez sensu. Ten list.. ta podróż.. ta dama.. ten szereg ucieczek.. Nic się nie kleiło. Im dłużej rozmyślałem, tem grubszą bardziej nieprzejrzaną wydawała mi się zasłona tajemnicy. A Holmes spał, pewny swoich „kombinacyj.“ Dziwny człowiek!..

W kilka dni potem, piątkowego wieczoru, chodziliśmy po dworcu centralnym w Berlinie oczekując ekspresu z Paryża. Holmes nerwowo zaciskał w ręce żelazny klucz. Czulem, że jest niespokojny. Usłyszeliśmy świst pociągu.

— Przyjedzie czy nie przyjedzie? — rzucił przez zęby Holmes. W głosie jego czuć było drżenie niezwykłe. Widać, że obawiał się, iż kombinacje mogą być zawodne.

— Kto taki? — zapytałem.

— Dama... z czerwonym piórem na kapeluszu... z małym pinczerkiem na rękę... i z binokłami na nosie... O! o! uważaj teraz dobrze.

Pociąg nadbiegł. W mgnieniu oka rozwarły się drzwi wagonów. Obaj wyteżyliśmy oczy. Nagle Holmes krzyknął i poskoczył naprzód.

Spojrzałem — i dreszcz zdumienia przeszedł mi po nerwach.

Naprzeciw nam szła dama okazałej tuszy. Na kapeluszu miała jaskrawo-czerwone pióra. Na rękę nosła otulonego w płaszczyk pinczerka. Na nosie miała binokle.

Nim ochłonąłem ze wzruszenia, już Holmes zdążył rozmówić się z ową damą, otrzymać od niej kwit na rzeczy, przywołać posługacza, dać szereg rozporządzeń, doręczyć mi kilka pudełeczek przyjezdnej, kilka wziąć pod swoją pieczę i polecić mi, abym o nic nie pytał tymczasem, a szedł ku omnibusowi hotelowemu.

Pałała mnie ciekawość. Ale nie mogłem jej zaraz zaspokoić. W omnibusie jak na złość zbrakło miejsca dla mnie. Wszystkie były wcześniej zamówione, prócz dwóch, które zajęli Holmes i nowoprzybyła. Poszedłem za karetką.

Spotkaliśmy się w podjeździe Monopoli.

— Kto ona? — szepnąłem do Holmesa.

— Zaraz się dowiesz!

Winda uniosła nas na trzecie piętro. We troje poszliśmy do drzwi numeru 44-go. Holmes ze złośliwym uśmiechem otworzył drzwi i grzecznie usunął się na stronę, puszczając przodem okazałą damę w kapeluszu z czerwonem piórem.

I nie zdążyłem jeszcze przestąpić progu, kiedy usłyszałem dźwięczny okrzyk: „Mama!”

Za chwilę byłem widzem czulej sceny. Pani Klotylda obejmowała matkę i płakała z radości. Ludwiczek nieco blady z radosnego wzruszenia całował rączki teściowej. Holmes ostrożnie obwijał w pled pinczerka. A pani Grzmotnicka, sapiąc, mówiła: „Kochane dzieci! jak ja was szukałam!.. jak ja was szukałam!.. Panie Holmes! niech-no Pan tylko ostrożnie dotyka Filusia, bo bardzo nerwowy.“

Zjedliśmy kolację w głównej sali hotelu w sześcioro (licząc w tem Filusia). Przy kolacji piliśmy dwadzieścia razy zdrowie genialnego Holmesa. Pani Klotylda, jej matka i Ludwiczek ściskali mu ręce przy każdym kieliszku. Pani Grzmotnicka przebrała nawet nieco miarę (trąbiła alasz kapitalnie), albo też była zmęczoną mocno po podróży: dość, że wcześniej udała się na spoczynek i zarządziła, aby Ludwiczek z Klotyldą też poszli na spoczynek, bo „zdrowia marnować nie należy w młodym wieku.“

Kiedyśmy zostali we dwóch, dostrzegłem, że Holmes jest jakiś kwaśny.

— Co ci jest? Czy nie jesteś zadowolony ze swego tryumfu?

— Owszem... ale ręka mnie boli... patrz, mam siniaki...

Pokazał mi rękę. Przeląknęłam się?..

— Co ci jest?..

— To pan Ludwik tak mocno mi dziękował... za odzyskanie teściowej.

Wyznaję, że parsknął śmiechem, choć mi żal było Holmesa serdecznie. Przeszło pięć minut trząsał mnie taki śmiech, że Holmes z początku chmurny i zły na mnie, zapomniał o bólu, dał się porwać i śmiał się ze mną razem.

Kazaliśmy podać szampana i teraz Holmes musiał mi odpowiedzieć na cały szereg pytań, ściągających się do jego tryumfu.

— Jak zgadłeś, że to teściowa, a nie kochanka?

— Kochanka nie miała by tyle cierpliwości. Tylko teściowa może tak prześladować zięcia po całej Europie!

— Każda?

— Nie!.. matka jedynaczki..

— W jaki sposób postawiłeś diagnozę choroby pana Ludwika?

— Ba!.. to nie tak trudno było... Choroba rozpoczęła się w dniu, kiedy teściowa zaproponowała swoje towarzystwo młodej parze w podróży poślubnej. Wtedy nastąpił pierwszy atak.

— A, prawda!

— I człowiek, który planował podróż poślubną do Włoch i Szwajcarii, znenawidził nagle oba te kraje.

— List nie wprowadził cię w błąd?

— Nie! odgadłem, że Wikcia prawdę mówiła. Pan Ludwik sam zniszczył list... dlatego sumienie go ruszyło i służąc starał się udobruchać. Skłamał z konieczności przed żoną.

— Cóż było w liście?

— Nie domyślasz się?

— Nie!

— Teściowa obiecała przyjechać.

— Zkąd to wiesz?

— Ba! z tego, że pan Ludwik nagle znowu pokochał Włochy i Szwajcarię i postanowił uciekać z żoną z Warszawy.

— Tak, to prawda! Jakie to wszystko proste! — rzekłem, uderzając się w czoło. Ale... ale... co to była za dama w magazynie kapeluszy... ta z czerwonym piórem?

— Tu Pan Ludwik niesłusznie był podejrzany przez żonę. Powiedział prawdę. Śmiał się z niej z panną sklepową, bo mu się jej pióro „okropnie“ podobało. I zapytywał istotnie: „czy niema czerwieńszych?“

— Po co te szepty ze sklepową?

— Mój drogi, kiedy żona wybiera dla mamy najpiękniejsze i najdroższe pióra strusie, a mąż, posławszy teściowej mnogość prezentów, zamierza raz jeden urządzić psikusa... i zmienia rozporządzenie żony, a zaleca zamianę białego pióra na czerwone, myśląc sobie: „dla starego Grzmota to będzie w sam raz,“ to... z konieczności szeptać będzie. A przyłapany na śmiechu i na szeptaniu, z konieczności zmiesza się...

— Tak.. tak... to prawda... o co to jeszcze zapytać chciałem?

— Chyba nie oto, czemu pan Ludwik tak uciekał przed teściową?

— O! nie!.. miły jej wpływ na Klocię, z opowiadania córki ocenić mogłem. Ale zkądże baba wiedziała gdzie każdej chwili obraca się zięc i córka?

— Jakże? nie odgadłeś, że córeczka Mamie wysłała plan podróży... i wskazała wszystkie hotele.. z datami... na wypadek „gdyby kochana Mama chciała przyjechać.“

Zawstydziłem się. To było tak proste. Biedna Klocia! Wyobrażała sobie, jak Mama jej ładnie prezen-



tować się będzie w kapeluszu z białym piórem... i uciekała przed damą z czerwonym...

— Ztąd zapewne zgadłeś, że pani Grzmotnicka będzie w hotelu „Regina“ w Paryżu w oznaczonym dniu I z taką pewnością wysłałeś depezę na jej nazwisko?

Holmes uśmiechnął się, dumny ze swego tryumfu.

— Wiesz, co mi posłużyło za najpewniejszą wskazówkę, gdym kombinował, kim mogła być owa dama?

— Nie domyślam się.

— Pośpiech Ludwika, gdy zamiast do Paryża, jechał z żoną do Krakowa... do Mamy!

— A!..

Kilka chwil śmieliśmy się serdecznie przypominając sobie ów „dziwny“ atak Ludwika w Krakowie, kiedy to nie wiadomo było, czy się śmieje, czy płacze.

Nagle uderzyłem się w czoło.

— Ach, zapomniałem ci zadać dwa najważniejsze pytania.

— Jakie to?

— Jakim sposobem odgadłeś, że pani Grzmotnicka nosi binokle.

— O, to proste! Pani Klotylda mruży oczy, jak osoby krótkowzroczne, choć uważałem, że sama nie jest krótkowzroczną; kiedy splakana prosiła cię o szklankę wody, wskazała karafkę, stojącą bardzo daleko na kredensie. Ztąd wniosek, że owo mrużenie oczu jest tylko przyzwyczajeniem, nabytem po krótkowidzących rodzicach, ojcu i matce... Powiedziała, że ojciec nie miał krótkiego wzroku. Ergo — matka...

— Ale mógł być krótkowidzem dziadek.. albo babka..

Holmes zmarszczył się.

— Ba! to mogło być... Ale tu instynkt powiedział mi, że .. matka. Dawni ludzie zazwyczaj mieli dobre oczy...

— A pinczerek na ręku ..

— Widziałeś, jak Klotylda gładzi coś niewidzialnego na kolanach?.

— Więc to też przyzwyczajenie?

— Tak!

— Ależ mogła mieć pieska w domu?

— Powiadała, że mąż nie lubi psów... Odgadłem, że pinczerek został u matki!.. To proste!

W tej chwili wydawał mi się genialny... Tem genialniejszy, że sam nie podejrywał swojego geniuszu, skromny, jak „dziecię, co nie wie o swojej piękności.“

On rozumiał, że go podziwiam i cicho a znacząco wyrzekł:

— Nie robię żadnych niemożliwości. Przekonasz się sam, że przed istotną trudnością zawsze „pasować“ muszę... Ba! oto zaraz przekonasz się o tem — dodał, spojrzawszy na prawo ku drzwiom wejściowym salonu i wzdrygnął się cały.

Do naszego stołu zmierzał pan Ludwik. Był bładny. Wargi mu drżały. Podeszedł, odsunął krzesło i raczej upadł na nie, niż siadł.

— Panie Holmes Mam do pana prośbę.

— Słucham Pana.

— Moja teściowa i moja żona śpią... razem. Wykradłem się, bo mam do Pana prośbę — powtórzył z przyciskiem.

— Słucham Pana — powtórzył Holmes. Prócz jednej rzeczy wszystko będę mógł uczynić dla Pana. A boję się, że... o tę jedną rzecz chcesz Pan prosić.

— Moja teściowa chce z nami jechać do Warszawy i przy nas zamieszkać..

— Domyślałem się tego.

— Moja teściowa przyrzeka nie opuścić nas i proponuje obecnie wspólną podróż po Europie. .

— Domyślałem się tego.

Dziękuję panu—syknął pan Ludwik przez zęby.—  
Dziękuję Panu za tę miłą scenę, którą miałem dopiero co na górze, kiedy indagowano mnie co do czerwonego pióra i kombinowano, z kąd pochodziły moje ataki w hotelach Szwajcarii i Włoch. Dziękuję Panu.

— Ale o co Pan mnie prosisz?

— Do diabła! o to, abyś Pan tak urządził — pamiętaj Pan, że żadnych kosztów żałować nie będę — żeby... żeby... ten stary grzmot sam pojechał do Krakowa.

Holmes zwiesił głowę rozpaczliwie, ręce opuścił bezwładnie i rzekł głucho:

— To... właśnie jest to jedno. . czego nie mogę.

Pan Ludwik pięścią huknął w stół, aż talerze zabrzękły i ludzie przy sąsiednich stołach ciekawie zwrócili na nas oczy.

— Tfy! — splunął — i ten człowiek uchodzi za geniusza!..

A obrzuciwszy go pogardliwym spojrzeniem, jeszcze raz splunął, odwrócił się i — wyszedł.

Sherlock Holmes siedział nieruchomy i błądliwie śmiertelnie.

Nigdy jeszcze nie widziałem takiej bladej twarzy na jego obliczu.

— Widzisz — wyrecytował — że jestem tylko zwykłym człowiekiem...

Na ramię lewego oka zakręciła mu się łza, którą dyskretnie otarł rękawem.

Wielki człowiek wstydził się swojej ludzkiej słabości.

---

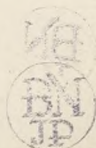
## W dodatkach do „Wolnego Słowa“

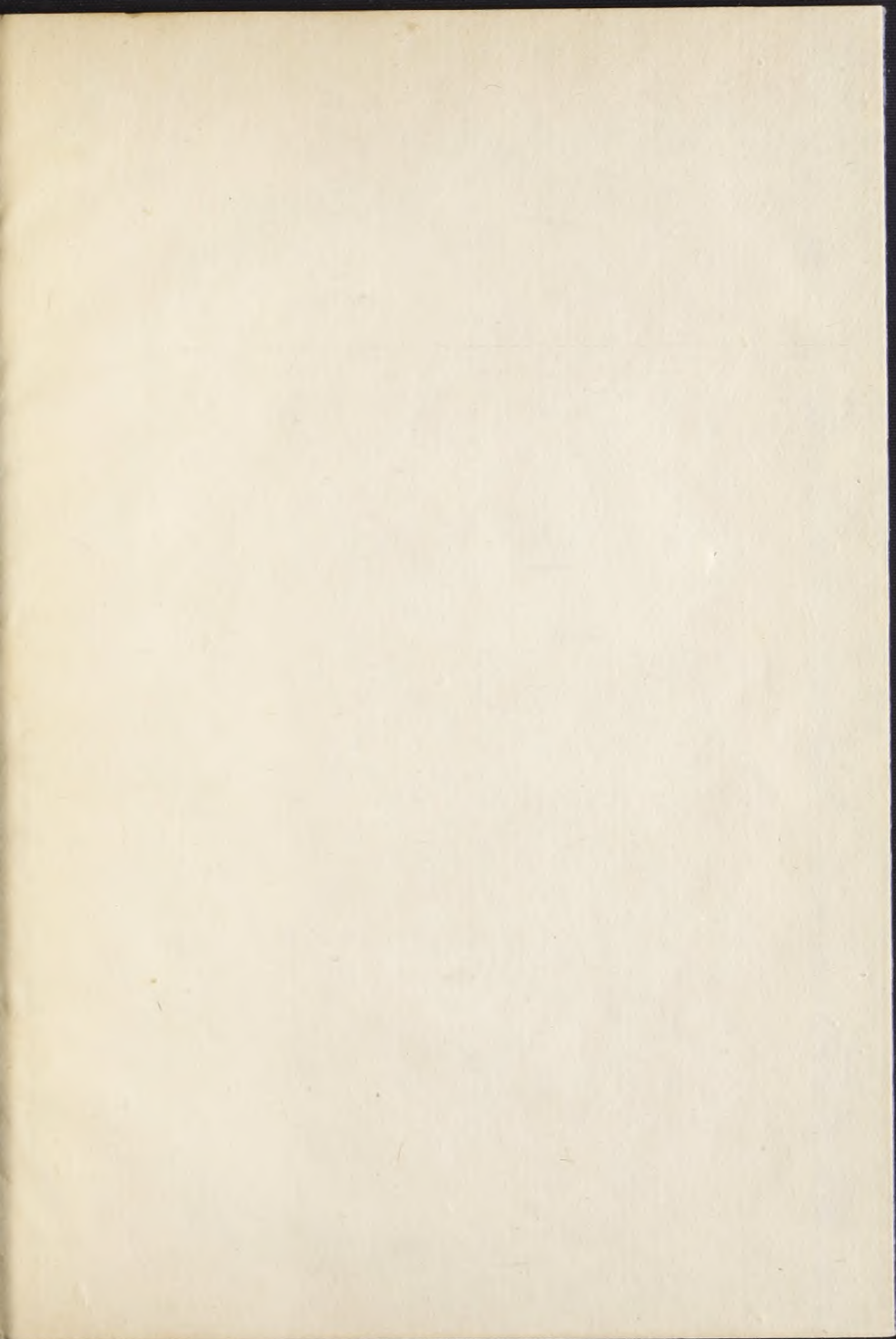
wyszły dotąd następujące utwory

**L. Belmonta.**

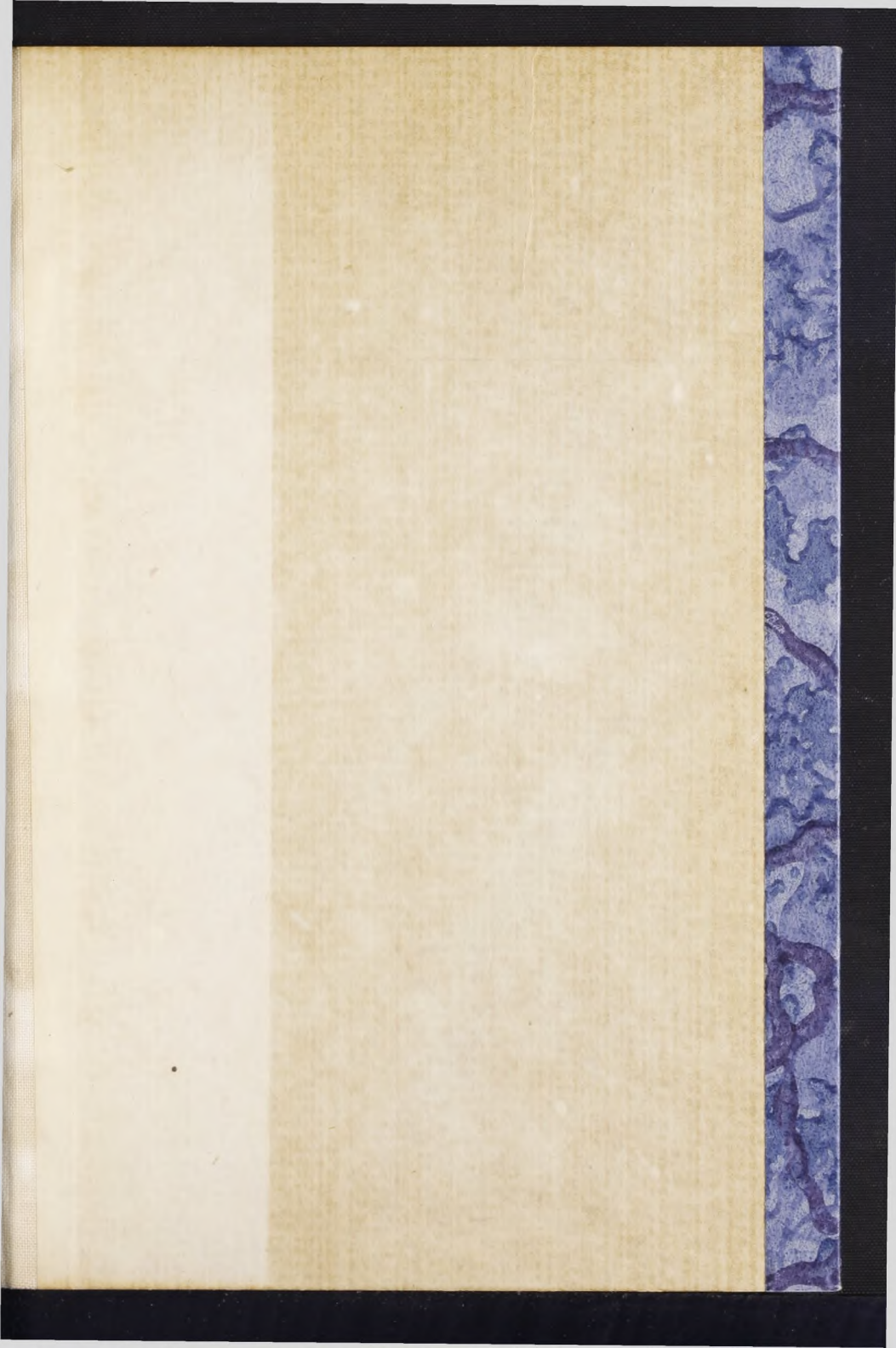
---

1. List do uroczej wdówki. Mozajka nowelistyczna z aforyzmów o kobiecie.
  2. Czarno-zielony pies, czyli Potęga prasy Warszawskiej (satyrka).
  3. Stracone iluzje, czyli historia pocałunku, którego nie było.
  4. Walka cudów. Dokument z współczesnego życia żydowskiego.
  5. Wszechpartyjna rodzina. Nowelka bezpartyjna.
  6. Sierlok Holmes w Warszawie Humoreska.
- 











105043

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001006155917